

Gdy świat znajdzie się u progu zagłady,
ile zrobi matka dla ukochanego dziecka?

ZGLISZCZA

KLAUDIA
MUNIAK



KLAUDIA
MUNIAK

ZGLISZCZA



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Justyna Żebrowska
Redakcja: Anna Płaskoń-Sokotowska
Korekta: Ewelina Pawlak
Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz
Zdjęcie na okładce: © Victor zastoł'skiy / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2022 by Klaudia Muniak.
All Rights Reserved.
Published by Agreement with Book/lab Literary Agency, Poland
www.literatura.com.pl

Copyright © 2022, Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-67137-19-5

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



1

Tak źle jeszcze nie było. – Słyszę głos spikera radiowego, skręcając na parking obok budynku szkoły. – Zawartość tlenu w atmosferze spadła wyraźnie poniżej dwudziestu procent i przewiduje się jej dalszy spadek. Rozgrywa się więc najczarniejszy scenariusz; nawet skrajnie powściągliwe prognozy zakładały, że tak znaczny ubytek tlenu nastąpi najwcześniej za kilka lat...

Przy akompaniamencie radia kluczę po placu w poszukiwaniu wolnego miejsca do zaparkowania. Pierwsze rzędy są zajęte, więc kieruję się na tyły.

– Zdaje się, że historia zatacza koło. Ludzkość znów nie wyciągnęła odpowiednich wniosków, a przede wszystkim nie podjęła wystarczających działań. U progu dwudziestego pierwszego wieku doskonale zdawano sobie sprawę, że wzrost średniej globalnej temperatury na poziomie dwóch lub powyżej dwóch

stopni Celsjusza w stosunku do stanu sprzed epoki przedindustrialnej doprowadzi planetę do punktu krytycznego ocieplenia, za którym nie będzie już odwrotu. Kiedy faktycznie go przekroczone, błędnie oszacowano czas, w którym ziemski system klimatyczny się załamie i wkroczymy w stan tak zwanej Ziemi cieplarnianej. Teraz stało się podobnie. Żyjąc w klimacie niegościnnym, wręcz wrogim dla ludzkiego organizmu i większości innych gatunków, znów błędnie oszacowaliśmy moment, kiedy kwestia naszego przetrwania stanie pod znakiem zapytania. Degradacja biosfery, która rozpoczęła się w chwili wkroczenia planety w stan Ziemi cieplarnianej, postępuje w nieodnotowanym do tej pory tempie. Nasz czas znów drastycznie się skurczył, a naukowcy nie mają nic, co pozwoliłoby nam spać spokojnie. Na domiar złego właśnie ogłoszono wyginięcie prochlorofitów, czyli specyficznej gromady sinic morskich, która odpowiadała za znaczny procent fotosyntetycznej produkcji tlenu. Od czasu tąpnięcia klimatycznego to już kolejna grupa organizmów będących istotnym źródłem tlenu na naszej planecie, która bezpowrotnie zniknęła z powierzchni Ziemi. Tym samym zostaliśmy pozbawieni następnego względnie stabilnego zasobu tego życiodajnego pierwiastka. Sytuacja jest alarmująca, tym bardziej że...

Nie chcę dłużej tego słuchać. Wylączę radio, w samochodzie zapada grobowa cisza. Opieram czoło o kierownicę i przymykam oczy, biorąc duży haust powietrza, zupełnie jakby miało mi go zaraz zabraknąć. To jeszcze nie dziś, ale wiem, że dzień, kiedy się to wydarzy, jest blisko.

Biorę jeszcze jeden głęboki wdech i prostuję się w fotelu – nie mogę pozwolić sobie na słabość, nie w rzeczywistości,

w której przyszło mi żyć. W obecnym świecie słabość oznacza śmierć.

Zakładam maskę ochronną, a potem poprawiam ją, aby szczelnie zakrywała usta i nos. Jest niewygodna i ciężka, wyposażona w wysokiej jakości filtry. Przystania znaczną część mojej twarzy, widoczne pozostają właściwie tylko oczy, choć one też przez większość roku są zakryte okularami przeciwsłonecznymi. Tego typu ochrona to konieczność, jeśli nie chcę w krótkim czasie nabawić się niewydolności płuc lub jakiegoś nowotworu z ich szerokiej puli.

Wreszcie jestem gotowa, aby wysiąść z auta. Pospiesznie ruszam w kierunku szkoły, w której pracuję jako nauczycielka historii, odkąd zakończyłam swoją edukację. Najpierw zdobywałam tutaj elementarną wiedzę, później, tuż po studiach, załapałam się na staż, aż wreszcie wskoczyłam na etat w pełnym wymiarze godzin. W tej szkole poznałam Bartka...

Przystaję na moment przy bramie i zerkam na posępny budynek, a potem rozglądam się po jego najbliższym otoczeniu – robię tak niemal codziennie. W pamięci ciągle mam obraz tego miejsca z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką, tak odmienny od tego, na co patrzę teraz.

Po lewej rozciągał się park miejski. Każdej wiosny kwitły w nim białe ciemierniki i żółte krokusy, a jesienią różnokolorowe wrzosy i fikuśna różowofioletowa kapusta ozdobna. Roilo się tam od krzewów, a drzewa rozrastały się do takich rozmiarów, że wymagały regularnego przycinania zbyt masywnych gałęzi. Każda z nich wypuszczała dziesiątki mniejszych pędów i setki liści. Takich miejsc było mnóstwo, choć tata opowiadał mi, że to tylko niewielkie pozostałości tego, jak wyglądał świat, kiedy on był dzieckiem.

Tereny wiejskie zapamiętałam jako jeszcze bardziej różnorodne, pełne soczystych kolorów i jasności, których próżno szukać w dzisiejszym świecie. Nie chcę już nawet wspominać o dzikich zakątkach, w których jeszcze wtedy pierwsze skrzypce grała natura, a nie największy wróg własnego życia – człowiek – bo tych zakątków już po prostu nie ma.

Teraz od tej niewielkiej pozostałości parku, na którą wciąż spoglądam, bije przygnębiająca pustka. Kwiatów już dawno w nim nie widziałam, krzaki obumarły, a niemal zupełnie ogołoczone z liści drzewa wyglądają, jakby wycięto je z zimowego obrazu i przez pomyłkę wepchnięto tutaj, choć formalnie mamy późną wiosnę. Zachowała się jedynie rzadniejąca, wręcz zmizerniała trawa. Już dawno straciła zielony kolor, teraz oscyluje gdzieś koło wypłowiałej żółci. Choć ciągle tu jest, sprawia wrażenie, jakby nawet ona już się poddała i czekała na nieuchronną śmierć.

Tak wygląda cały świat. Nasz świat, świat człowieka dwudziestego pierwszego wieku. Świat epoki najintensywniejszego industrializmu.

Jaki on jest?

Na pewno nie taki, o jakim marzyliśmy. Kiedyś bogatą, przepęlną barwami Ziemię zamieniliśmy w szarą, ponurą pustynię, w której na darmo szukać dziewiczych lasów tętniących różnorodnością życia. Przetrwały tylko najsilniejsze gatunki. To niemal cud, że wciąż funkcjonujemy. Kiedy patrzę na ten posępny świat, do którego ludzkość sama od lat wytrwale dążyła, szczerze się dziwię, że ciągle tu jesteśmy. Powinniśmy umrzeć, tak jak obumarła znaczna część dawnych ekosystemów.

Nie tylko utraciliśmy roślinność w stopniu, który nie pozwala jej się już wydajnie zregenerować, lecz także przejrzyste kiedyś powietrze zamieniliśmy w siną mgiełkę. To na stałe zawieszona w atmosferze zanieczyszczenia – efekt naszego nieposkromionego konsumpcjonizmu, którego nikt w porę nie zatrzymał. Rozbuchana era przemysłu i elektroniki w ostatecznym rozrachunku doprowadziła do dramatycznego skurczenia się ziemskich zasobów fauny i flory, dosłownie zabiła świat, w którym żyjemy.

Powoli zabija też nas.

Nauczyliśmy się funkcjonować w tych trudnych warunkach. Nie mając innego wyjścia, wypracowaliśmy szereg systemów, które utrzymują nas przy życiu. Maski filtrujące powietrze stały się normą. Zaczęliśmy je masowo nosić już w dwa tysiące dwudziestym roku, kiedy przez świat przetoczyła się pandemia koronawirusa, i już nigdy ich nie zdjęliśmy. Postawieni pod ścianą, proste maseczki ochronne płynnie zamieniliśmy na specjalistyczne maski przeciwsmogowe wyposażone w coraz sprawniejsze filtry. Nieużywanie ich to zwykłe samobójstwo, bo bez nich niemal nie da się oddychać. Z kolei oczyszczacze powietrza stały się standardowym wyposażeniem każdego budynku – niezależnie od tego, czy jest on własnością instytucji użyteczności publicznej, czy też prywatnym domem.

Odrywam wreszcie wzrok od przygnębiających dowodów ludzkiej samozagłady i ruszam przez szkolne podwórko. Przebiegam je szybkim krokiem ze spuszczoną głową, staram się spędzić na wolnym powietrzu jak najmniej czasu. Wzrok wbijam w brudne betonowe płyty. Jak zwykle uważnie je lustruję, ale efekt zawsze jest taki sam. Nigdy nie znajduję między nimi ani

jednego chwastu, który niósłby nadzieję, że pod tą wyjałowioną warstwą ludzkiej aktywności wciąż tli się życie.

Zastanawiam się, kiedy to wszystko ostatecznie runie. Czy stanie się to jeszcze za moich czasów? Czy może apokalipsa, którą tak chętnie ekranizowano przed rokiem dwutysięcznym, przypadnie w udziale dopiero naszym dzieciom? Jaka jest szansa, że dożyję tej katastrofy? A jaka, że wcześniej wykończy mnie nowotwór, o który w dzisiejszych czasach tak łatwo, albo że się po prostu... uduszę.

Wreszcie docieram do celu i szybko znikam za drzwiami szkoły. W budynku natychmiast zdejmuję maskę. Działa w nim o wiele wydajniejszy system oczyszczania powietrza niż to, co zapewniają maski antysmogowe, a poza tym szczerze ich nie znoszę. Czasem próbuję sobie przypomnieć, jak to jest przemieszczać się bez nich. W mojej pamięci majaczą blade wspomnienia z dzieciństwa, kiedy społeczeństwo zęgnęło się z maseczkami po pandemii koronawirusa, jednak szybko się okazało, że wcale nie można się z nimi rozstać. Więcej: trzeba zastąpić je sprawniejszymi, a przez to cięższymi i jeszcze mniej komfortowymi. Ten krótki okres, kiedy można było wyjść na zewnątrz z nieprzesłoniętą twarzą, wydaje mi się dziś odległy, jakby nierealny. Nie wykluczam, że to jedynie wymaginowane pragnienie człowieka udręczonego srogimi warunkami życia.

Chowam maskę do torebki i w tym samym momencie wyczuwam wibracje telefonu. Wyciągam komórkę i sprawdzam powiadomienia. Nie zauważam jednak żadnej pilnej wiadomości, co przyjmuję z nieskrywaną ulgą. Piekielnie się boję, że dojdzie do kolejnego tąpnięcia klimatycznego tego zrujnowanego świata właśnie w momencie, kiedy będę z dala od Julka.

Na szczęście nic nie wskazuje na to, aby doszło do czegoś podobnego, dostrzegam natomiast powiadomienie o nowym mailu. To on musiał wprawić mój telefon w wibracje. Nie zwlekam z odczytaniem treści wiadomości, bo może okazać się ona na tyle istotna, że jednak będę musiała bezzwłocznie zareagować.

Klikam w ikonę na wyświetlaczu i moim oczom ukazuje się informacja, która dosłownie ścina mnie z nóg. Spodziewałam się jej, a jednak jestem nią zaskoczona i jakby zupełnie na nią niegotowa. Jeszcze nie widzę treści umieszczonego w załączniku listu, ale odczytanie adresu jego nadawcy wystarczy, aby skórę pokryła mi lepka warstwa potu.

Opieram się plecami o ścianę, bo nagle czuję się słabo. Kiedy moje ciało zyskuje stabilne podparcie, zaczynam zapoznawać się z treścią załącznika. Z każdym przeczytanym słowem pulsuje we mnie coraz większy niepokój. Kiedy docieram do końca listu, przed oczami robi mi się ciemno. Przez chwilę kompletnie nic nie widzę, a w uszach słyszę szum, który zagłusza wszelkie inne dźwięki. To już, nadszedł ten moment.

Nie wiem, jak długo tak stoję – przejęta, wręcz otumaniona otrzymaną wiadomością – ale trzeźwieję dopiero wtedy, kiedy jedna z koleżanek pyta, czy wszystko ze mną w porządku. Siłę się na uśmiech i zapewniam, że tak, choć głowę mam pełną obaw, tych starych i całkiem nowych. Nie mogę się jednak do tego przyznać, przynajmniej nie teraz. Nie wiem, kiedy i czy w ogóle taka chwila nastąpi.

Wreszcie chowam telefon do torebki i biorę kilka głębokich wdechów. Miały pomóc mi się uspokoić, ale chyba przynoszą odwrotny skutek. Pod ich wpływem zaczynam myśleć o tym, jaką drogę pokonuje wdychane przeze mnie powietrze

od nozdrzy aż po pęcherzyki płucne. To na ich powierzchni zachodzi wymiana gazowa, która umożliwia przedostanie się do organizmu niezbędnego nam do życia tlenu. Tlenu, którego wkrótce nam zabraknie, o którego dostępność musimy zadbać już w tym momencie, uruchamiając wszelkie możliwe środki.


Piętrzące się w mojej głowie myśli przerywa kolejne pytanie o samopoczucie. Tym razem jestem wdzięczna, że ktoś wyrwał mnie z ich szponów. Zbieram się w sobie i kieruję do pokoju nauczycielskiego. Poruszam się jednak sztywno, jakby ciało buntowało się przeciwko zapewnieniom podsuwanym mi przez umysł. Namolnie powtarzam sobie, że wszystko idzie w dobrym kierunku, a otrzymany przed chwilą list jest tego najlepszym dowodem, ale to zwyczajnie nie wystarcza.


Nie wystarcza, bo prawda jest bardziej skomplikowana i podziurawiona wątpliwościami, niż chcę to przyznać, nawet przed samą sobą. W rzeczywistości nie mogę wiedzieć, jak to się skończy. A przede wszystkim nie mam pewności, czy otrzymana wiadomość oddaliła, czy wręcz przeciwnie – przybliżyła nas do śmierci. Pozostaje mi tylko wiara.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)